

Jan Mierowski

# Marta

## Nowela

Ostatni rok szkolny rozpoczął się inaczej. Zaraz pierwszego dnia pomiędzy zwykłe powitania i wspomnienia wakacyjne wplątywało się uporczywie: Jak z Martą? Czy są jakieś nowe wiadomości?

— Nie słyszał pan?

— Nie.

— Coraz gorzej. Mówią, że beznadziejnie...

Wyraz „beznadziejnie” powtarzał się nader często. Ale nie był najgorszym i ostatnim. Tuż za nim szedł inny; widziało się go; poprostu samochęć wyglądał spod powiek i natychmiast ginął w porozumiewawczym mrugnieniu. Bywało wszakże, iż ktoś przy cisznym głosie konczył: dysk. Dosłownie kończył: „Dysk” był pewnego rodzaju pointą szkolnych rozmów. Dalej się nie szło. Raz tylko, pamiętam, ktoś wytłamał się i rzucił: „A drugie uderzenie w samochodzie? Wreszcie nie należy bagatelizować i wroczonych dyspozycji psychicznych”. Spojrzył dokola: Głowy nie wykonały żadnego ruchu, oczy patrzyły gdzieś indziej.

W trzy dni później na mieście rozlepiano nekrologi.

Początkowo siedziała na pierwszym, potem na ostatniej ławce, pod oknem. Światło padało na jej ziemistą cerę i ciemno-blond włosy. Nie była brzydka, ani tem bardziej ładna: nijaka. Tyle tylko, że dziwnie niesharmonizowana z wiekiem. Twarz niemal stara, a lat dziewiętnaście. Dzieciństwo — dopiero w drugim roku, bo akurat między pierwszą a ostatnią ławką mieścił się drugi rok ósmej klasy wraz ze łzami, które się widywało na lekcjach. Nie była zdolna. Mimo systematycznych wysiłków i dużej pracy — matka przynosiła Marcie z trudnością. Wszystko było wykute i niestety krótkotrwałe. Oznaka kiepskiej pamięci? Zapomnę, ale i wielkiej nerwowości. Pamiętam, że ilekroć wywoływała się Martę do odpowiedzi, podrywała się z ławki tak nerwowym ruchem, jakby była spłoszonym przez myśliwego ptakiem. Wrażenie przykre. Inne odpowiadały swobodnie, niekiedy nawet rezolutnie. Marta nigdy. Jakis we wnętrzu pośpiech nie pozwalał jej powiązać myśli w logiczną całość, zamknąć w proste, porządne zdania. Pędził przez usta strzępami myśli, zdań i słów, natrafiał na nieprzewidziane przeszkody: powstawały luki, tworzyły się tamy, wątek gubił się w jakalstwie. Przeszło półroczce. Było parę dwójek. Potem gwytęgodnio wa nieobecność z powodu grypy. I rezygnacja. Marta zrozumiała, że nie będzie, bo nie może być dopuszczona do matury. Upowiedzieliśmy jej rodziców o tem zawczasu. Niech państwo wysła Martę na wieś. Niech odpocznie, nabierze sił. Jest mizerna... Na przyszły rok pójdzie jej lepiej! — Nie chciała. Chodziła nadal dzień w dzień do szkoły, notowała, uczyła się, uważała... i tylko niekiedy — bardzo rzadko — przedkimi, zażenowanym ruchem ścierała z policzków łzy.

Tymczasem rozpoczęły się egzaminy. Okres, który jest zmorą zarówno dla nas, jak i dla dzieci. Jedne zdawały lepiej, drugie gorzej; jedne wychodziły z sal triumfujące, choć bardzo blade, inne wybuchły z drzwiami tłumianym płaczem i chowały twarz w zmiętych chusteczkach. Po między nimi i z nimi przez wszystkie dni piśmiennej i ustnej matury — była Marta. To uspokajała, to cieszyła się, to znów niosła słowa pociechy, a czyniła to jak zawsze nieśmiało, prawie niewidocznie, z sercem. Pamiętam, jak jedna z abiturjentek, zdrowa, rosła dziewczyna, wypadła z sali jak bomba, wpadła na pierwszą Martę, złapała ją wpół i dalej hasać z nią w zawrotnych piruetach. Patrzyłem przez uchylone drzwi. Abiturjentka puściła już Martę, frunęła gdzieś indziej. Marta stała jeszcze chwilę na środku, tak jak ją porzuciła triumfator, stała u-

śmiechnięta jeszcze i tylko ręką wykonała przedki, zażenowany ruch.

Teraz Marta siedzi na ostatniej ławce i jest trochę opalona. Zaczął się nowy rok szkolny, drugi rok ósmej klasy. Nauka idzie Marcie niewątpliwie lepiej. Ma wprawdzie jeszcze spore braki z łaciny i dość słaby polski, niemniej jednak na okresowej sesji wszyscy stwierdzają, że jeżeli tak dalej pójdzie, powinna otrzymać maturę.

Tymczasem w parę dni po owej sesji wydarza się coś, co przejmie wszystkich zgrozą i stawia pod dużym znakiem zapytania niedawną opinię Rady Pedagogicznej.

Było tak.

Klasa ósma coraz niechętniej chodziła na gimnastykę. Wiele uczennic było zdania, że jeżeli jakas korzyść miała z tych lekcji odnieść, to już ją — prawdopodobnie — odniosły, a w każdym razie tych parę tygodni niebardzo wpłynę na ich sprawność i konstytucję fizyczną. Uległy psychozomatury. Wpatrzono w nią, jak w Itakę, po dziewięcioletniej odysei szkolnej, obojętnie reagowały na sportowe ambicje nauczycielki, jakoweś — tam odznaki P. O. S. i t. p., natomiast chętnie zwalniały się z ćwiczeń i uczyły po kątach „przedmiotów egzaminacyjnych” lub poprostu zadanych lekcji. Oczywiście władze szkolne musiały przeciwdziałać podobnemu lekceważeniu tak

ważnego przedmiotu! Tylko zupełnie „niedolegli” zostali zwolnieni, i to na mocy orzeczenia lekarki szkolnej, wszystkie natomiast „normalne” skazano na przymusową edukację mięśni. Prawdziwie jednak sprawnych było mało. Toteż większość — w tej liczbie i Martę — odkomenderowano do grupy gier i zabaw sportowych z „siatkówką” na czele; resztę zaś — nieliczną jak każda elita — sposobiono do laurów i świetnych wyczynów.

Otóż na jednej z takich lekcji, gdy część była zajęta przerzucaniem przez siatkę piłki, a druga sposobieniem się do zawodów lekkoatletycznych, zdarzył się tragiczny wypadek. Niesposób ustalić: kto był naprawdę winien?

Czy nauczycielka, t. zn. jej nieuwaga, czy któraś z uczennic, czy też przypadek? — dość, że odbywały się właśnie próbne rzuty dyskiem. Po lewej stronie (względnie obszernej boiska) rozległy się śmiechy grających w „siatkówkę”; po prawej — stała nauczycielka i grupka zawodniczek, które miały kolejno wykonać przepisowy rzut. Kiedy przyszła kolej na jedną z nich, zdrową i rosnącą dziewczynę, dysk, rzucony silniej niż poprzednio ale nieprawidłowo, przeciął plac naukowy — akurat w kierunku grających... Krzyk! Krótki. pojedyńczy. Potem gromadny. Ktoś upadł. Zamieszanie...

Marta została uderzona dyskiem w głowę z lewej strony nad

skronią. Zemdlała. Rana mocno krwawi. Pogotowie. Opatrunek. Marta zostaje odwieziona do domu.

Długo nie przychodzi do szkoły. Niebezpieczeństwo minęło. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Na szczęście nie poważnego. Przynajmniej tak twierdzą doktorzy. Owszem, już wkrótce Marta zjawia się w szkole i wszystko pójdzie znowu normalnym trybem. Rzekniesz, że nie. Na ostatniej ławce znowu siedzi Marta i uśmiecha się do klasy i do nas, którzy żartujemy z całego zajścia. Stopniowo nawet zapominamy o niem, gdyż jesteśmy całkowicie pochłonięci powtarzaniem kursu przed maturą. Wprawdzie słyszymy coraz częściej bądź od wychowawczyni, bądź od koleżanek Marty, że ją boli głowa, że dziś nie trzeba jej pytać, ale nie zwracamy jakos na to większej uwagi; poprostu przemęczenie — myślimy. Utwierdza nas w tem zresztą sama Marta, która sędzi podobnie. A tu tymczasem zadaje się cale fury do domu, pyta się, pyta, pisze... bo matura tuż — tuż, bo tegoroczny delegat ma być istną męczyduszą, bo regulamin... i t. d. Wszyscy są podnieceni i zdenerwowani, Marta zaś do tego stopnia, że absolutnie nie można z niej żadnej, ale to żadnej wydusić odpowiedzi. Siedzi pochylona nad książką lub zeszytem, ścisła dłońmi skronie i czegoś się uczy i uczy, i ciągle uczy.

Mówią, że wysiaduje do późna, że potrafi w nocy nawet zerwać się i znowu siadać do książek. Drży, że jej nie dopuszczają, że nie zda, że nic nie umie, że już wszystko zapomniała! A tu nie sposób sobie przypomnieć o co napewno zapytają! Bóle głowy są coraz bardziej uporczywe i nieznosne. W skroniach łupie, wierzch głowy wypycha coś do góry... — Marta, kładź się spać! Zostaw to wszystko! Jeszcze się rozchorujesz — i co będzie? — Nic, nie. To głupstwo, ona wytrzyma. Już niedługo. Potem odpocznie! — I znowu śleczy nad książką, ścisając dłońmi skronie.

Piśmienny poszedł nieźle. Zato z ustną maturą było doprawdy rozpaczliwie. Widać było, że z Martą dzieje się coś niesamowitego, że nie może już zapanować ani nad myślami, ani nad słowami, ani nad sobą. Od straszliwego wysiłku nabrzmiały jej żyły, czoło pękało pionową zmarszczką, oczy wbijały się w stół, jakby w nim jednym szukała ratunku! Mówiła głupstwa. Tak potworne głupstwa, że delegat kategorycznie sprzeciwił się wydaniu matury. Pamiętam, jak musieliśmy przekonywać, molestować, tak, molestować! Stół był dosłownie zawalony calorocznymi pracami Marty, papierami, papierkami, aktami... I znowu argumenty, prośby, błagania... Wreszcie delegat ustąpił.

Marta zdążyła! Ale już jej nie

było na korytarzu. Zrobiło się jej niedobrze. Dwie koleżanki odwiedziły ją do domu. Jak przyjęła wiadomość? Podobno nie miała sił, by się cieszyć.

Nazajutrz gruchnęła po szkole wieść, że Marta została sparaliżowana. Cała prawa strona bezwładna. Nawet prawa gąska oczna skrzywiła się do środka; powstał zez. — Biedna Marta! — mówiono. — Tak się biedactwo napracowało, tak bardzo marzyła o zdaniu matury!...

Po paru jednak dniach nastąpiła znaczna poprawa. Marta mogła sama przyjść na rozdanie matur. Widzę ją, jak z czarną przepaską na prawym oku, schowana za koleżankami, z jeszcze bardziej ziemistą cerą i postarzałą twarzą — stoi oparta o ścianę i słucha przemówień: — jednego, drugiego, piątego... Potem odbiera tak upragnione świadectwo dojrzałości, przyjmując nasze życzenia i jakby się lewym kąciem ust uśmiecha.

No widzisz, Marta, widzisz. Masz nareszcie maturę! Teraz powinnaś odpocząć, naprawdę od początku!

Przyszły wakacje. Jeden pojechał tu, drugi tam. Wszyscy rozkoszowali się słońcem, swobodą. O szkole zapomniało się doszczętnie. Niestety! Ani się człowiek obejrzał, kiedy znowu wchodził na trzecie piętro pierwszego dnia szkolnych zajęć. I właśnie wtedy — pomiędzy powitania i wspomnienia wakacyjne — najbardziej nieoczekiwanie wplątało się:

— Czy słyszał pan o Marcie?

— Nie. A co takiego?

— Jest z nią tak źle, że beznadziejnie. Doktorzy opuścili ręce. Niech pan sobie wyobrazi: trepanacja czaszki, wrzód na mózgu, ropa.

— Jezus Marja, co pani mówi? Przecież już chodziła!...

— Tak, ale na początku lipca nastąpiło gwałtowne pogorszenie. Straciła przytomność. Całą dobę leżała, jak martwa. Przewieźli ją do szpitala. Doktorzy zamiast natychmiast zrobić prześwietlenie czaszki, na coś czekali. Lecyli ją na zapalenie opon mózgowych. Tymczasem coraz gorzej i gorzej. Wreszcie zdecydowali dwa tygodnie temu trepanację. Znaleźli wrzód. Codziennie robią opatrunki. Marta po każdym z nich jest — tak wyczerpana, że zapada jakby w letarg.

— Czy jest przytomna?

— Chwilami. Wczoraj naprzekąd poznała Olę. Nie, nie mówi już i nie porusza się, bo paraliż wrócił. Kiedy pytają: Marcie poznajesz? — uśmiecha się leciutko lewym kąciem ust. To wszystko. Jeszcze niedawno, kiedy mogła mówić, zwierzyła się Irce: — Wiesz, mnie się wydaje, że w sierpniu będę już na wsi. Przyjedziesz do mnie, prawda? Będzie tak dobrze! — A drugim razem, nawet nieco później, gdy słyszała, że matka płacze i mówi: „Ach ten dysk! Potrzebna ci była, moje dziecko, ta lekcja!...” Marta dopiero po chwili, gładząc matkę lewą ręką po sukni: — Nie, matko! To głupstwo, przejdzie. A jak już wyzdrowieję, to...

Marta nie żyje. Umarła wczoraj o dziesiątej wieczorem. Jeszcze rano tego dnia była przytomna. Już nie robili jej opatrunku. Poca męczyć? I tak chwile policzone. Tylko zakonnice przechodziły od czasu do czasu, podnosiły jej lewą rękę i oglądały paznokcie, czy już sinieją, czy jeszcze nie? Marta była przytomna na tyle, że rozumiała. Toteż co pewien czas sama dźwigała wychudzoną, bladą lewą rękę, przez chwilę trzymała ją wzniesioną, a potem opuszczała cichutko na kolę drę. Tak. Ona też patrzyła: czy sinieją już, czy jeszcze nie? Od szóstej rozpoczęła się agonja. Powolna i bardzo cicha. Przyszedł ksiądz i namaścił Olejami świętymi. Podobno przed samą śmiercią drgnął jeszcze lewy kącik ust Marty.

Może dawała Bogu znak, że Go poznaje?...

Zdzisław Broncel

# Luksusowe wiersze

O nowym zbiorze wierszy M. Pawlikowskiej

ka. Zapominamy. Spływa po nas, jak woda.

Im bardziej jakaś sztuka ma swój atut wyłącznie w formie, tem trudniej jej samą formą wywołać dla siebie uznanie. Dziś — w poezji forma musi być naprawdę mistrzowska, ażebyśmy pozwolili sobie na luksus bawienia się małymi pieścidełkami.

„Śpiąca załoga” \*) Pawlikowskiej w wielu wierszach prezentuje doskonałość formy. Po tych wszystkich zastrzeżeniach, jakie trzeba było zrobić ze względu na beztreściowość klanu poetów, do którego należy Pawlikowska, można teraz powiedzieć, że efekt metafory jest u Pawlikowskiej najzdrowszy i najprostsz.

Wiersze Pawlikowskiej mają już dziś swoją renomę. Do ich piękna są dwa klucze.

Pierwszy. Przenośnia Pawlikowskiej jest zwycięża. Wirtuozostwo wysokiej klasy, a trwa krótko. Akurat tyle czasu, ile jesteśmy zdolni unosić się nad estetyką formy. Akurat tyle, żeby nas nie uraził brak treści. W zwyciężonych czterech, sześciu, czy ośmiu wierszach nie miejsce na daleką pointę. Pointa bije odrazu z pierwszej linii. Olsnienie efektem jest skondensowane. Metafora została schwyta jakby w soczewkę. Wystarczy dla przykładu zacytować doskonały „Śnieg”:

„Śniegu, Baranku Boży! Gładzisz grzechy świata I białymi lokami brzydotę rozmiatasz... Wokoło igra iskrami pogoda [zszczęśliwa,

A ty kłęczysz —

\*) Marja Jasnorzeńska (Pawlikowska): „Śpiąca załoga”. Str. 50. Pod znakiem poetów. Serja nowa. Warszawa 1933. J. Mortkowicz.

I śmietnik Piersiami zakrywasz”.

Druga tajemnica. Pawlikowska odwraca porównanie. Zamiast przyrównać do czegoś konkretnego, wyraźnego szuka zbliżenia ze zwieźnem, nastrojowem, nieokreślonym. W ten sposób osiąga subtelność i symboliczną wiersza. Taki np. zwrot z „Pary kanarków” jest wyraźnym przykładem:

„Ona w dywanu zagon wtulona Cała jak serce z miłości kona”.

Albo jeszcze wyraźniej w jednym z dawniejszych wierszy:

„Wybrzeże coraz to bledsze W lilowej pół - żalobie — Zagieł oparty na wietrze, Jak ja na myśli o t o b i e”.

Tam, gdzie Pawlikowska trzyma się wiernie tych zdobytych form, mamy w „Śpiącej załodze” małe arcydzieła. Wiersz tytułowy. Para kanarków. Wiewiórka. Kukulka i zakochani. Samobójstwo dębu. Mgła. Rozbite gniazdo — to są perełki drobnej kobiecej liryki.

Oto, jeśli ktoś chce się przekonać:

„Na ścieżce — gnazdo rozbite, Szmat puchu, welny i ułtek, Skurupka, piórko zielone, Żalobne wskazują losy... Znalazłem w niem też splecione, Moje i twoje włosy”.

Natomiast, tam, gdzie usunęty został czynnik osobistego wzwuszenia autorki (np. Stary lokaj Jan, Mieszczanśki kredens) powstaje rzecz sztuczna, rozwlekła i wtedy ogarnia aż zdziwienie. Jakże dziś poezja wyżyła się wzniosłości! Jak łatwo być poetą, jeżeli tak puste i niepotrzebne wiersze są kartą wstępu do literatury.

Z tego punktu widzenia — należałoby skreślić prawie pół zawartości „Śpiącej załogi”. Pawlikowska w swym tomiku nie wytrzymała poziomu. Sympatykom poetki wiersze „Secesja”, „W poczekalni u adwokata”, „Do stuletniej” i parę innych sprawiają przykry zawód.

„Stary lokaj Jan” zasługuje na szczególną uwagę. Właśnie ze względu na swoją bladość. W jakim celu napisano ten wiersz? Trzy zwrotki po cztery linie. W dwóch pierwszy obrazek — lokaj podaje do stołu, w formie — z powieści zonglowania imieniem Jan, a teraz w trzeciej figiel autorki, która z zestawienia imienia lokaja i imienia św. Jana zrobiła sobie zabawę, dowcip, a nam wiersz.

„Pomyłono półmiski. Toast w uszach [itni! — Głowe, kulę kościaną w smugi [włopłowe Polożyłby na misie i zasnął [najchętniej Jak święty, co przy uczcie także [stracił głowę”.

Teraz nie zdziwimy się, że po marnowaniu talentu w takich balamutach nie ma Pawlikowska dość siły, ażeby uderzyć krzykiem i protestem tam, gdzie broń sprawy ogólnoludzkiej, gdzie całą duszę włożyła w swój wiersz.

W rozmowie, prowadzonej wkrótce po wyjściu „Śpiącej załogi” autorka mówiła mi, że najo- rzej związana jest z wierszem „Prawo nieurodzonych”. Pawlikowska stoi po stronie świadomego macierzyństwa. Więć oczekiwaliśmy istnego wybuchu, proklamacji walki o prawo nienarodzonych do szczęśliwego życia, do radosnego oczekiwania rodziców, do sprawiedliwości i opieki. Tymczasem kończy się wszystko na precyzyjnych trójwierszach, które nie wznoszą się ponad ton perswazji. Wiersz wysoce artystyczny, ale nikły wobec tematu. Tak samo nikły, jak „Epitafium lotnicze”, gdzie przeciwieństwa miały być obrona prawa do sławy tych wszystkich, którym okoliczności nie daly tak głośnego zgonu, jak Żwirce i Wigurze.

W ten sposób mści się rozestępowanie, kult formy, służenie poezji luksusowej, wytwornej i opartej najczęściej o mózg, a nie o serce.

Głośna powieść  
Władysława Jana Grabskiego

p. t.

BRACIA

Cena zł. 3. —

Nakład „Roju”

Oczywista, że taka poezja ma dwie konsekwencje: nie jest życiem, jest tylko jego ozdoba, luksusowym dodatkiem, powstaje nie z potrzeby wewnętrznej, ale z umiejętności znalezienia przenośni i pointy, po drugie — nie zostawia śladu w duszy czytelnika.